

# Do życia jest potrzebna gitara

**Z MIETKIEM JURECKIM, WIELOLETNIM GITARZYSTĄ  
BASOWYM ZESPOŁU BUDKA SUFLERA - ROZMAWIA  
MARIA DUSZKA**

\*



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrązek

**Maria Duszka:**

**Interesują mnie źródła, początki... Urodził się pan we Wrocławiu, więc domyślam się, że rodzice mieli korzenie kresowe.**

**Mietek Jurecki:**

Oczywiście. Moi rodzice urodzili się na terenie przedwojennej Polski, a w dokumentach kazano im wpisywać, że w ZSRR. Ojciec pochodził spod Stanisławowa, a mama z miejscowości Podhajce. Gdy byliśmy dziećmi, to mama tylko raz nam opowiedziała o

przeszłości swojej rodziny, bo te wspomnienia za dużo ją kosztowały. Jako kułakom zabrali im majątek. Mama miała 11 lat, kiedy zmarła jej mama, czyli moja babcia. Tydzień później razem ze swoim ojcem i o dwa lata starszą siostrą została wywieziona na Syberię. Wkrótce potem dziadek zaginął. Odtąd moją mamą opiekowała się jej siostra. Spędziły tam pięć lat. Jestem zdziwiony, że po takim dzieciństwie, po takiej traumie moja mama wyszła za mąż i wychowała czwórkę dzieci. Myślę, że dobrze wychowała.

## **Czy rodzice byli utalentowani muzycznie?**

Od kiedy pamiętam mój ojciec śpiewał w chórze w kościele Bożego Ciała, mieszczącym się naprzeciw Opery Wrocławskiej. Ja i moje rodzeństwo też tam śpiewaliśmy.

**W pana biografii zamieszczonych w Internecie nie ma mowy o szkole muzycznej, jest tylko wrocławskie IX Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego przy ul. Piotra Skargi. Czyli samorodny talent? Jak to się stało, że został pan profesjonalnym muzykiem?**

Gdy miałem cztery lata, dostałem pod choinkę skrzypce - zabawkę. Pamiętam, że były czerwone w białe ciapki. Każde normalne dziecko chwilę by na tym porzępoliło i rzuciło w kąt. Ja tego nie pamiętam, ale rodzice mówili, że zacząłem grać jakieś

melodie usłyszane w radiu. A potem rodzice kupili mi harmonijkę ustną. Moja mama była wychowawczynią w przedszkolu, więc miała cały repertuar dziecięcy opanowany. I ja to wszystko bez najmniejszych trudności umiałem od razu zagrać. A potem wychodziłem na podwórko i bardzo mnie dziwiło, że moi koledzy i koleżanki tego nie potrafili, a to przecież takie proste. Kiedy byłem już w szkole podstawowej, mój ojciec zrobił mi taki statyw, który zakładałem sobie na szyję i grałem równocześnie na harmonijce i gitarze. Z własnej inicjatywy do nóg przyczepiłem sobie janczary, takie dzwonki, jakie koniom zakładają zimą podczas kuligu. Stukałem nogą, grałem na gitarze i harmonijce – albo śpiewałem, na zmianę. I już byłem „one man band” – choć nie znałem jeszcze wtedy takiego określenia. I w ten sposób grałem na akademiach szkolnych. W podstawówce zagrałem pierwszy raz w życiu z zespołem na zabawie sylwestrowej. Bardzo często grywałem też wtedy na weselach. Za pieniądze zarobione na jednym z nich zaprosiłem kiedyś całe podwórko do wesołego miasteczka. Wszyscy bardzo dobrze się bawili, niektórzy aż do... wymiotów. A ja bardzo się cieszyłem, że mogłem im to zafundować. Nie myślałem o jakiejś odpowiedzialności – jak to dziecko.

Mieszkaliśmy przy ulicy Kościuszki, róg Kołłątaja, czyli kilkadziesiąt metrów od Klubu Studenckiego „Pałacyk”. To też miało jakiś wpływ, bo słyszałem od dziecka, że tam coś się dzieje w tym „Pałacyku”. Byłem ciekawy, podchodziłem pod okna – ktoś

tam stał z gitarą elektryczną i grał, a mnie to fascynowało.

W późniejszych latach podstawówki założyliśmy z kolegami zespół: akordeon, gitara i tamburyn. I graliśmy piosenki zespołu Breakout. Kupiliśmy cztery głośniki pięciowatowe – to wtedy już było głośno. Najpierw występowaliśmy na akademiach szkolnych, a potem trafiliśmy do Domu Kultury Kolejarza, który mieścił się na pierwszym piętrze Dworca Głównego we Wrocławiu. I tam były już gitary elektryczne. I instruktor, dzięki któremu jestem zawodowym muzykiem. Nazywał się Marian Konieczny; Janek Borysewicz też go dobrze wspomina. Mieliśmy zespół amatorski i pan Marian dał nam nuty przywiezione z NRD. Z bardzo trudną partią gitary basowej. To były czasy, kiedy na tym instrumencie w zespole grał najgorszy muzyk, bo tej gitary nie było słyhać, solówek się wtedy nie grało. Ale ta partia była trudna i nasz basista nie mógł jej zagrać. Pan Marian kazał mi spróbować. I powiedział: „To ty będziesz grał na basie”. I życie mi zmarnował (śmiech).

Nie poddawałem się, grałem dalej na gitarze. Tylko jak występowaliśmy na przeglądach, na które nasz dom kultury musiał wystawić ekipę, to grałem na gitarze basowej. A potem już zacząłem występować z kolegami z liceum; zawsze grałem ze starszymi od siebie, bo byłem zdolny. Najpierw w pierwszej klasie grałem na bębnach z ludźmi z czwartej klasy. A potem ze starszymi kolegami założyliśmy zespół Ekspres i zrobiliśmy na

początku test, jakiej muzyki chcą słuchać młodzi ludzie, którzy będą przychodzić do Domu Kultury Kolejarza. No i oczywiście odpowiadali, że Slade, Deep Purple, The Rolling Stones, węgierski Locomotiv GT. Zebraliśmy te informacje i nauczyliśmy się grać tych wszystkich rzeczy. I wtedy na naszych koncertach bywały dzikie tłumy. Bo graliśmy to, czego ta młodzież chciała słuchać.

Mój ojciec zarabiał dotychczas dość dobrze jako kierownik techniczny we wrocławskich Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. I nagle ta jego pozycja mistrza świata i jedyne go żywiciela rodziny zaczęła się lekko chwiać, ponieważ ja grając w piątek i sobotę na koncertach rockowych, zarabiałem więcej od niego.

Pewnego dnia do Domu Kultury Kolejarz przyszedł Alek Mrozek. To był najważniejszy gitarzysta rockowy we Wrocławiu, muzyk – legenda. Do dzisiaj jestem mu wdzięczny, bo to on mnie zaprosił do zespołu Nurt i dzięki niemu zacząłem grać profesjonalnie. Tylko nieszczęście polegało na tym, że on chciał, żebym grał na basie.

Wtedy po raz pierwszy w życiu pojechałem na kontrakt zagraniczny do NRD. Tam zakochałem się w szesnastoletniej Niemce. Ona była potem u mnie nawet w domu ze swoją matką. Moi rodzice byli przerażeni... ale to wszystko było dawno temu.

Podczas koncertów w NRD doszło do nieporozumienia. Niemcy myśleli, że jesteście zespołem folklorystycznym. I zorganizowali nam koncert w... ogrodzie zoologicznym. Scena była umiejscowiona pomiędzy olbrzymią klatką z sępami, a wybiegiem dla niedźwiedzi. Jak myśmy rozstawili ten swój sprzęt, to te zwierzęta wpadły w furję. Sęp latał po całej klatce, pióra fruwały, a niedźwiedzie próbowały sforsować bariery i dostać się do muzyków. Niezapomniany koncert!

**Uczestniczył pan także w nagraniach piosenek Kabaretu Elita w Polskim Radiu Wrocław. Na przykład „Do serca przytul psa” ...**

3 października mam urodziny, a następnego dnia miałem koncert z okazji 50-lecia pracy artystycznej, więc zaprosiłem Jurka Skoczylasa z Kabaretu Elita po to, żeby zagrać mu tę piosenkę tak, jak powinienem to zrobić pół wieku temu, gdy traktowałem granie na gitarze basowej na zasadzie zawodów sportowych - kto szybszy, ten lepszy.

Mam na koncie parę takich sytuacji, kiedy piosenka jest bardzo ładna, tylko basista zwariował. Na przykład z rumieńcem wstydu zobaczyłem kiedyś w telewizji festiwal w Opolu. Grałem wtedy w Alex Bandzie. No i wychodzi Włodzimierz Korcz, jest krzeselko, lampka, pulpit, nuty, Alicja Majewska śpiewa - wszystko się zgadza. Tylko ja właśnie psuję im tę całą piosenkę. Bo wtedy było

modne takie strzelanie na gitarze basowej... To jest historia, tego się nie da zmienić! Skasować tamto, nagrać jeszcze raz - nie da się! Nie powtórzymy festiwalu w Opolu czy Sopocie sprzed lat.



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrążek

\*

**Występy z Kabaretem Elita, a granie rockowe, to były chyba dwie różne sprawy...**

Ale ja całe życie wolę zagrać dobrze polkę niż słabo rock and rolla. Muzyka jest dobrze wykonywana albo niedobrze. I to jest podstawowa dla mnie różnica. Nieważny jest gatunek. Ja gram

to, co mi się podoba, w czym się dobrze czuję.

Niedawno zagrałem koncert z Wojtkiem Klichem. On z Anią Wyszkonii grał przed Markiem Radulim. „Czy ten pan i ta pani są w sobie zakochani?” to jest jego piosenka. Serce całe wkładamy w tę muzykę. Jesteśmy zachwyceni tym, co z siebie wydobywamy, z tych swoich głów, rąk. I ludzie to widzą, że to nie jest oszustwo. Że nikt się nie nudzi. Ja od dawna nie wychodzę na scenę po to, żeby się zastanawiać, czy ja teraz powinienem się uśmiechnąć do ludzi. Zwłaszcza jak z Hołdysem graliśmy w Perfekcie, to myśmy wychodzili na scenę po to, żeby publiczność powalić na kolana. I to się udawało, bo też Zbyszek miał przepiękne piosenki. W każdym razie jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że grałem i nagrałem kosmiczne ilości płyt, piosenek, zagrałem ileś tysięcy koncertów, chyba mam wszystkie możliwe do zdobycia nagrody w Polsce – powiem bardzo skromnie.

### **A pamięta pan swoją pierwszą kompozycję? Kiedy to było?**

Zapomniałem o tym, teraz mi pani przypomniała. To było chyba w 1976 r. Mój ojciec usłyszał w radiu, że zapowiedzieli piosenkę skomponowaną przeze mnie, wyciągnął do mnie rękę i pogratulował mi. Nie pamiętam, jaka to była piosenka, ale pamiętam, jak się nazywał realizator: Jerzy Rezler. To postać we Wrocławiu po prostu kultowa. On nagrywał przeglądy tych wszystkich zespołów dziecięcych, w których ja występowałem. A

potem nagrał tę moją kompozycję. Na jeden mikrofon – ale Beatlesi też nagrali w ten sposób największe hity. To dzisiaj jest tak, że młody człowiek nie ma prawie niczego do zaproponowania, ale od razu stawia warunki. Na przykład potrzebuję młodego gitarzysty, to on nie pyta, co trzeba zagrać, tylko za ile. Poza tym bez Marshalla to nie zagra. Ja pamiętam z młodości, że wystarczało, jeśli ktoś miał zwykłe domowe radio, takie z głośnikiem i lampką – magicznym okiem okrągłym.

Gdybym w ten sposób podchodził, że na razie nie mogę grać, bo nie mam Gibsona i Marshalla, czyli gitary i wzmacniacza światowej klasy, no to bym nigdy nie zagrał nic. W ogóle czasy się zmieniły. Zmieniła się też rola muzyki. Kiedyś o co innego chodziło. Dzisiaj paru gości w garniturach usiłuje piosenkę sprzedać jak worek ziemniaków. I normy są takie, że po ośmiu sekundach musi się zacząć pierwsza zwrotka, a piosenka nie może mieć więcej niż trzy minuty. Gdyby ktoś taki kilkadziesiąt lat temu decydował o twórczości Pink Floyd, Led Zeppelin, to w ogóle całej tej światowej muzyki by nie było.

## **Dlaczego tak się dzieje? I czy można z tym coś zrobić?**

Mogą coś zrobić tylko artyści. Ten lep na muchy, który te koncerty zagraniczne tutaj przywiozły – że „tutaj podpisz papierek i zaraz będziesz gwiazdą”, to jest po prostu chore. Tak samo jak chore są te telewizyjne konkursy typu „talent show”. Że wygrał w konkursie, to już ma wymagania, bo on wie, jak ma być.

Bo nasłuchał się tych bzdur. A tu o co innego chodzi.

Na szczęście są jeszcze młodzi, rozsądni ludzie – jest ich nieprawdopodobnie dużo. Ja przez 13 lat organizowałem Festiwal „Solo Życia”. Co roku nagrywałem podkład muzyczny z paroma hakami, aby ci mniej zdolni od razu się na tym przewrócili. Do tego podkładu każdy muzyk z całego świata mógł nagrać solówkę, najlepiej jak potrafi. Dlatego to się nazywało „Solo Życia”. Na początku jeszcze nie było MP3, więc na płytach CD nam nagrania przysyłali. Myśmy tego słuchali i wybieraliśmy najlepszych – od pięciu do ośmiu osób. I oni potem przyjeżdżali. Nie na własny koszt, bo to nie był jakiś oszukańczy festiwal, tylko prawdziwy. Ja nigdy nie podpisywałem umowy na wyłączność, że jestem „właścicielem” jakiegoś człowieka. A tak to się odbywa gdzie indziej. Ci wybrani przez nas grali w finale konkursu na żywo z profesjonalnymi muzykami. I ze mną też. Ktoś wygrywał i potem ja go holowałem po innych festiwalach, na których występowałem. On poznawał branżę i jeśli miał trochę szczęścia, to stawał się jej członkiem. Jeśli to był prawdziwy talent, to wszyscy byli zachwyceni. Ja parę razy dopłaciłem do takiego festiwalu. Bo kiedy taka impreza staje się ogólnopolską i są zgłoszenia nawet z Anglii, to władze danego miasta mówią: „E, on to już da sobie radę, to teraz się zajmijmy czym innym”. Ten mój festiwal miał hasło: „Lepiej grać niż pić lub ćpać”. To wszystko miało ręce i nogi. Na przykład Jimmy Hendrix, Janis Joplin, czy Rysiek Riedel... Wyobraźmy sobie, jak oni by dzisiaj

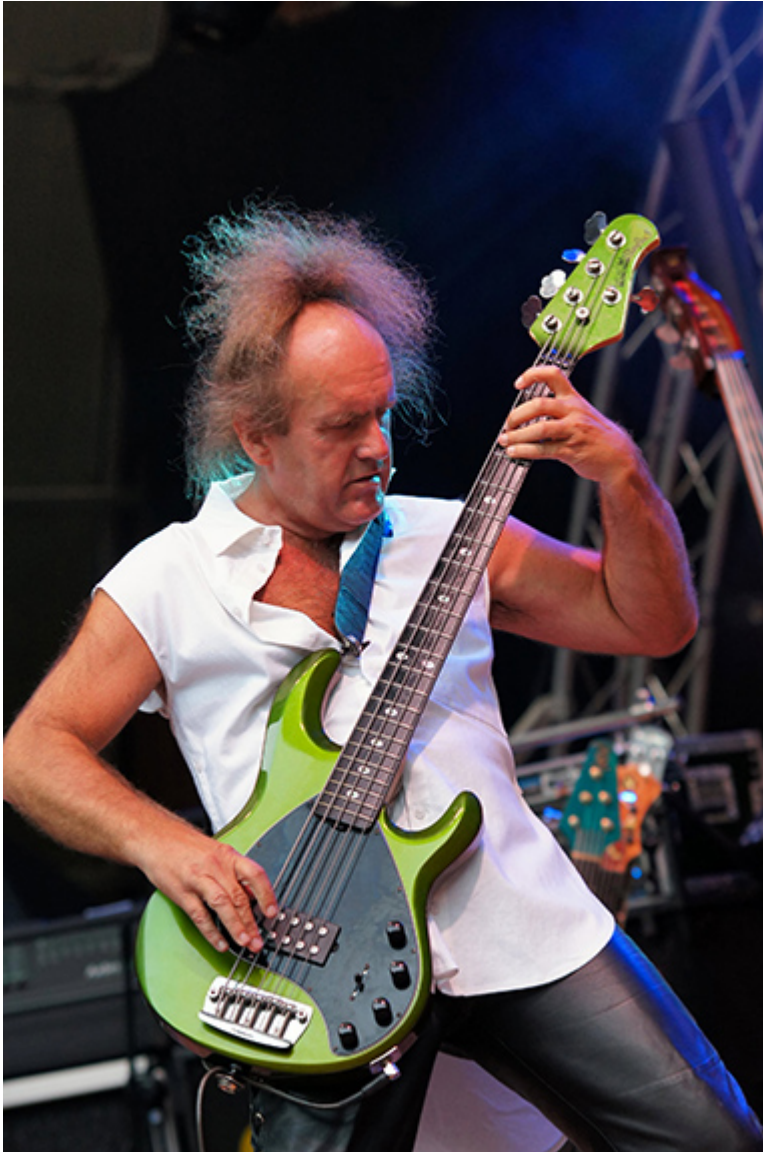
grali, gdyby nie to, że niestety zainteresowali się czym innym. Zawsze proponuję muzykom, którzy twierdzą, że nie mogą na trzeźwo wyjść na scenę: „Skoro tak uważasz, to dobrze: napij się, zagraj, nagraj to i posłuchaj potem na trzeźwo”. Efekt murowany!

## **Ma pan za sobą doświadczenia z używkami?**

Oj, nie byłem przez całe życie święty. Wręcz przeciwnie! Był taki czas, że byłem bohaterem połowy opowieści o naszej branży. Dzisiaj mogę się tylko rumienić. Wtedy koledzy gratulowali mi takich idiotycznych pomysłów. Ja bym po prostu na trzeźwo nawet na to nie wpadł, ale po pijanemu, to nie dość, że wpadłem, to jeszcze zrobiłem. No katastrofa! Ale na szczęście mam to za sobą. I to już kilkadziesiąt lat... To znaczy, ja już przestałem komukolwiek przysięgać – czy Bogu, czy żonie, czy sobie – że nigdy. Nie ma nigdy! Ja nie wiem jak będzie, natomiast – na razie nie. Mój kolega mi wytłumaczył, jak na początku jakieś próby podejmowałem... Dwa lata zaciśnięte zęby, że nie będę... I tak z żalem mu powiedziałem, że ja już się chyba nigdy normalnie nie napiję. A on mówi: „Wiesz co, a ja nigdy nie będę lotnikiem ani czołgistą”. Dla niego to było tak nieważne, jak bycie czołgistą. Więc zacząłem się zastanawiać dlaczego dla mnie to jest ważne. I w momencie, kiedy się zacząłem zastanawiać, to wszystko puściło. No i już. Oczywiście to wszystko nie jest takie proste, bo to trwało trochę, ale jestem dowodem na to, że jest to możliwe.

## Można być rockmanem niepijącym?

Łatwo nie jest. Jak z Hołdysem zacząłem grać... Idziemy gdzieś tam, ja proszę kawę. Zbyszek na to: „No co ty, muzyk rockowy i kawa? Nie rób obciachu!”



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrązek

**Dlaczego przeprowadził się pan w Wrocławia do Lublina?**

Przez 15 lat dojeżdżałem do roboty do Lublina, do Budki Suflera.

Tomek Zeliszewski, perkusista Budki Suflera, przeprowadził się z Tarnowa do Lublina w wieku 18 lat. No i on tłucze się już 50 lat w tym zespole. Jako jedyny muzyk nagrał wszystkie płyty z Budką. Ja tam zacząłem grać w 1981 r. Potem Marek Raduli przeprowadził się z Kędzierzyna - Koźła do Lublina. I on mi poradził: „Przeprowadź się do Lublina, będziesz częściej w domu”. Myślę: „Co on do mnie gada? Jak ja będę częściej w domu, jak dom mam we Wrocławiu?” I dopiero w Ameryce zobaczyłem, że ktoś mieszka na przykład w Nowym Jorku i nagle dostaje pracę w San Francisco. Wystawia przed garaż na sprzedaż wszystkie rzeczy, których chce się pozbyć. Potem bierze jakąś przyczepę, zabiera to, co najbardziej potrzebne i za trzy dni jest tam. I nie robi z tego żadnej tragedii. To tylko u nas jest tak, że chałupa się wali na głowę, ale dziadziu tu mieszkał, to ja też tu muszę. Nic nie muszę. Ja się przeprowadzałem wielokrotnie. Jedna dobra rzecz wynika z przeprowadzek: że nie wlecze się za sobą tego bałaganu, tych wszystkich rzeczy, bez których, jak się okazuje, można żyć. Selekcja następuje.

**Mój znajomy o korzeniach wileńskich, profesor łódzkiej ASP Robert Jundo, kiedy się przeprowadzał do nowego domu, to zaprosił przyjaciół do tego starego i poprosił ich, aby brali - co tylko kto chce.**

Ja tak samo rozdałem meble. Po co ja mam z sobą taszczyć jakieś rzeczy niepotrzebne. Gitara jest potrzebna do życia. A reszta...

Moja żona była w szoku, kiedy zobaczyła, że ja wyjeżdżam z Hołdysem na pół roku do Ameryki i mam w reklamówce: maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów i jakieś tam spodenki... No w razie czego, to przecież sobie kupię. Po co ja mam to nosić z sobą? Parę razy jeździłem na pielgrzymki do Ziemi Świętej. Ludzie z jakimiś walizami... Tak patrzą na mnie i pytają: „A gdzie pan ma bagaż”? A ja pokazuję na tę reklamówkę. Może ktoś musi się przebierać codziennie w coś innego. Ja nie muszę. Ja jestem tak wytresowany, że jak wjeżdżam do hotelu i zdejmuję skarpetki, to od razu je piorę i rzucam na kaloryfer albo na słońce. Na drugi dzień są już suche. Na wszelki wypadek mam jeszcze drugie. No oprócz ciuchów na estradę. Jakieś spodnie na zapas – jak mi pękną, żebym nie chodził w dziurawych. Tak naprawdę do życia bardzo mało rzeczy jest potrzebnych. Szczęście moje między innymi na tym polega, że się nie przywiązuję do czegoś tak na zawsze. Że tak zawsze będzie. Ja nie wiem jak będzie jutro.

**Ale to jest chyba typowe dla potomków przesiedleńców z kresów. Ja mieszkam w centrum kraju, ale w latach osiemdziesiątych przebywałam we Wrocławiu. I zauważyłam ze zdziwieniem, że tam często ludzie mówili: „A, nie ma co remontować tych domów, mieszkań, bo nie wiadomo, czy nam ich nie zabiorą”. Mieli w sobie taki lęk, poczucie, że są tutaj chwilowo.**

- Ale to nie jest przypadkowe. Bo ci ludzie, którzy tam mieszkali, to zostali wywiezieni ze swoich domów, tak jak i moi rodzice. Więc do czego oni mieli się przyzwyczajać? Do jakiegoś ponemieckiego domu?

## **Nie jest pan materialistą?**

Ludziom się we łbach przewraca, mają wymagania. To dotyczy muzyków, że bez super sprzętu nie zagra. To samo dotyczy warunków życia. No bo jak to? Auto bez klimy? A kiedyś nie było klimy. Kiedyś był mały fiat, w którym trzeba było siedzieć krzywo, żeby utrzymać kierownicę. I ja byłem szczęśliwy, że jadę.

Motorem działań wielu ludzi jest brak wyobraźni i pieniądze. Można tam jeszcze parę rzeczy znaleźć, ale to jest podstawa. Brak wyobraźni, bo jak ktoś ma auto, to chce mieć helikopter. Potem chce mieć rakietę, statek i cały czas jest mu mało. A potem to już chce mieć władzę nad światem. Ma tylko jeden problem, czyli... nieśmiertelność. Prędzej czy później się okazuje, że trumna nie ma kieszeni i nie ma gdzie schować tego, co gość nazbierał przez całe życie. I nagle to nie ma wartości takiej, jakby się wydawało. Bo potem jest „panu już dziękujemy” i „kawalerka w Zakopanem”.

## **Kawalerka metr na dwa.**

Przecież mnie wielokrotnie było stać na różnego rodzaju fanaberie. Dwa razy w życiu taką fanaberię sobie spełniłem. Jedna dotyczyła muzyki. No chyba mam najdroższe gitary basowe, jakie są w Polsce. Chciałem kupić gitarę, na której gra jeden z moich „bogów”, czyli Stanley Clarke z zespołu Return to Forever. Chciałem ją mieć tak z ciekawości – chociaż od dawna wiem, że nie zagram na niej lepiej, bo albo się coś umie albo nie. Czy ktoś będzie kopał łopata stalową, srebrną czy złotą, to przecież ma tylko takie znaczenie, że droższe są mniej trwałe. Jechałem do Ameryki i już nie wziąłem ze sobą gitary, bo nowa czekała na mnie w Chicago. Cała obsługa sklepu się zbiegła, żeby zobaczyć, że jakiś szmaciarz z Polski sobie coś takiego kupuje. I wziąłem ją, i zagrałem. I myślę: „To przecież w domu ja mam lepszą gitarę”. Ale już... chciałem, to mam. Doceniłem ją dopiero w studiu, jak zagrałem i tak już zostało do końca – nikt niczym nie kręcił, nie kombinował. No to jednak jest różnica.

No i druga fanaberia to auto. Ja raz w życiu kupiłem nowe auto w salonie. Nigdy więcej nie kupię. Zwłaszcza przy droższych samochodach, to wiadomo, że nawet jak się coś zepsuje, to tego właściciela będzie stać na naprawę. W każdym razie nówka ze sklepu jest przereklamowana. Nigdy więcej! Ferrari też jechałem. Mocno przekroczyliśmy prędkość na obwodnicy Tarnowa. Jak potem zwolniliśmy, to nas złapała policja. A potem staliśmy na czerwonym świetle, jak wszyscy. Albo na przejeździe kolejowym. To pije strasznie benzynę i hałas jest w środku. No i

oczywiście tam się nie da już gitary włożyć, bo nie ma gdzie. No gitarę może od biedy tak, ale wzmacniacza już na pewno nie. No i fajnie wygląda. Ale gdzie ja miałbym tym pojechać? I gdzie to zaparkować na ulicy? Zaraz będzie płacz, bo ktoś gwoździem przejedzie. A co druga osoba, to będzie chciała wejść do środka i sobie zdjęcie zrobić. Po co? Znam paru właścicieli drogich samochodów. Te wszystkie nowości i te drogie rzeczy są przereklamowane.

### **A tak à propos techniki... Skąd ksywa Mechanik?**

A to Bogdan Olewicz wymyślił. Dawno temu – jak sam grałem i śpiewałem. Zresztą do dzisiaj grywam takie koncerty. I on mówi: „No, są różne zawody. Jest hydraulik, jest szlifierz, ślusarz... A taki co umie wszystko zrobić, to mechanik. A ty grasz na wszystkich instrumentach – no to mechanik”. No to takie średnio dowcipne, ale wtedy patrzyłem na niego jak na Pana Boga. Bo to przecież facet, który napisał „Nie płacz Ewka”, „Niewiele ci mogę dać” i „Autobiografię”... Ale nie brałem pod uwagę, że jak z nim zaczęliśmy pisać piosenki, to ja w międzyczasie nagrałem jakieś Jolki, dmuchawce i inne rzeczy. I też coś tam wiem na temat muzyki. A to może kwestia wychowania, bo Bogdan jest starszy ode mnie, a ja z domu wyniosłem szacunek dla starszych. Często do mnie ludzie starsi mówią na „ty”. No to trudno mi do nich inaczej się zwracać niż „proszę pana”. No ale to z wiekiem przechodzi. A też już coraz trudniej znaleźć starszego od siebie.



Mietek Jurecki, fot. Wojtek Wytrązek

## **Jak rodzina znosi pana tryb życia? Żona od początku ta sama?**

Żona ta sama - od 42 lat. Trzy córki. Na szczęście moja żona ma świra na punkcie swojej pracy, takiego jak ja na punkcie swojej, więc się rozumiemy. Jest psychoterapeutką. Ona wychodzi rano, wraca w nocy, bo mówi, że musi ludziom pomagać. Jak byliśmy 8 lat po ślubie, to żona mi wyliczyła, że przez ten czas 2 lata byłem w domu, więc 6 byłem poza. Ale to jest też przyczyna, dla której się nie rozwiedliśmy. Przychodzę do domu i mówię sobie: „O, nawet dość atrakcyjna kobitka!” A jak ma się coś zadymić, to ja właśnie wyjeżdżam. I nie ma kiedy się tak naprawdę pożyć.

## **A córki odziedziczyły po panu talent muzyczny?**

To bardzo możliwe, ale... jak były małe, to w pokoiku dziecięcym leżał miś, lala, gitarka i jakiś klawisz. Na szczęście tej gitarki i klawisza za często nie brały do ręki.

## **Nie chciały iść w pana ślady?**

Z daleka to ten zawód wygląda przepięknie: grają, śpiewają, dymy, stroboskopy, autografy, cuda... I jeszcze im za to płacą czasem. Ja wiem, po co wychodzę na scenę. I wiem, jakie są oczekiwania. Nikogo nie interesuje, że na przykład boli mnie brzuch. Tylko mam być zachwycony, że po raz tysięczny wykonuję tę samą piosenkę. I jestem zachwycony, naprawdę. Kilka lat temu graliśmy na Przystanku Woodstock. Na widowni 700 tysięcy. Patrzą, a po horyzont tych ludzi. I to sami młodociani, których nie było na świecie, jak myśmy „Jolkę” nagrali w 1982 r. I te dzieci śpiewały z nami, każde słowo znały. I tak sobie wtedy pomyślałem, że chyba nie całkiem zmarnowałem to życie. I w momencie, kiedy będzie końcówka, a już parę razy ocierka była, to ja na pewno nie będę prosił o jeszcze dwie godziny. Zdaję sobie sprawę z tego, że przeżyłem tyle, że wystarczy na parę życiorysów.

Raz lecieliśmy z Chicago do Phoenix, międzylądowanie było w Denver. No i nad tym Denver nagle turbulencje takie, że samolot

spada po kilka metrów, podnosi się i znowu spada. Faceci krzyczą, kobiety wymiotują, a ja tak przypięty tym pasem myślę: „Acha, to już? Szkoda, bo jeszcze chciałem zrobić to i to”. I wylądowaliśmy. A potem się okazało, że tam tak jest zawsze, tylko nikt nam nie powiedział. A już myślałem, że właśnie: „Panu już dziękujemy”. Parę takich sytuacji przeżyłem. Ja uważam, że jestem szczęśliwym, spełnionym człowiekiem, co rzadko kto pewnie mówi.

Choć jak patrzę z perspektywy czasu, to oczywiście wiele rzeczy bym zmienił w swoim życiu. Na szczęście tego zmienić się nie da. To tylko na filmach tak jest. Że ktoś tam naciśnie jakiś guzik albo pięści zaciska i już się przenosi w czasie, i poprawia sobie to, co mu nie wyszło. To się tak nie da. Bo życie z ideałami pewnie jest nie do wytrzymania.

**Trudno pewnie wybrać, ale którą ze swoich piosenek uważa pan za swój największy przebój, albo którą najbardziej lubi.**

Ja swoich piosenek nagrałem kilkaset, a skomponowałem tysiące. Ale jedna z tych piosenek odniosła wielki sukces, ponieważ przez 12 lat była wykorzystywana w serialu „M jak miłość”. Wojtek Gąsowski ją śpiewał. To właśnie moja piosenka do tekstu Bogdana Olewicza. To jest akurat sukces bardziej finansowy niż muzyczny. Bo żądanie było, żeby nie była zbyt przebojowa, żeby nie odwracać uwagi od akcji.

Każdy muzyk powie pani, że najlepsze to dopiero nagra. Ja też. Za chwileczkę wychodzi moja kolejna solowa płyta. Na razie dostępna w Internecie – jestem z niej bardzo dumny. Płyta „Kołowrotek” z tekstami Staszka Głowacza. Jest w tych piosenkach trochę o mnie, bo ja Staszкови opowiadałem o swoim życiu, o rodzicach. Ile oni musieli się ze mną namęczyć! Bo tu Budka Suflera, gorzała, dziewczyny, high life – no żyć, nie umierać. Któregoś dnia ojciec zaproponował, że załatwi mi pracę w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, bo to granie, to takie niepewne zajęcie. ZNTK już dawno nie istnieje, a ja gram dalej. Przyznaję – to był okres, kiedy trochę im krzywdy zrobiłem. Inna sprawa, że rodzice mieli zupełnie inne oczekiwania. Ja tak naprawdę na studia poszedłem dla nich. Choć nie chciałem dalej się uczyć, bo już grałem zawodowo. Wybrałem Akademię Ekonomiczną we Wrocławiu dlatego, że tam był Klub Studencki Simpleks, w którym mieliśmy próby.

## **I skończył pan te studia?**

A skądże! Do wyboru miałem po pierwszym semestrze albo zdawanie egzaminów, albo trasę koncertową z zespołem jazzowym. Wiadomo, że pojechałem na koncerty. Choć wiedziałem, że mam jeszcze do zaliczenia egzamin z języka rosyjskiego. Kiedy powiedziałem w dziekanacie prawdę, że byłem w trasie koncertowej, to usłyszałem, że tylko zaświadczenie lekarskie się liczy. I oddano mi papiery. No, rodziców to

kosztowało troszkę, bo sobie wyobrażali, że ich zdolny syn... To prawda, byłem zdolny. Chodziłem w liceum do klasy matematyczno - fizycznej. Te wszystkie techniczne rzeczy, to do dzisiaj mnie fascynują. Jak cokolwiek w domu przestanie działać, to rodzina czeka, aż ja przyjadę. Jeśli jestem, to od razu naprawiam - komputer i nie tylko. Teraz młodzi, jak im się wyłączy prąd, to nie wiedzą nic. Ja wiem, że mech rośnie po północnej stronie drzewa i zawsze gdzieś dojdę. A oni już niekoniecznie.

**Na koniec zapytam jeszcze o tę oryginalną, jedyną w swoim rodzaju fryzurę...**

A mieliśmy kiedyś koncert, był upalny dzień, związałem włosy gumką i... tak już zostało.

**Bardzo dziękuję za rozmowę. Nawet nie musiałam zadawać dużo pytań. Miło mi się słuchało.**

Ja tak mam... Czasem redaktor nie zdąży nawet zadać pierwszego pytania. Staram się opanowywać. (śmiech)

*Wywiad został przeprowadzony we wrześniu 2024 r.*

---

## Zobacz też:

Wilno, czy ty pamiętasz mnie?

Między cyrylicą a szwabachą – Stanisław Klawe (1).

Między cyrylicą a szwabachą – Stanisław Klawe (2).

Marceli Nencki – stypendysta Alfreda Nobla

---

# Urodziny Krzysztofa Zanussiego



Jianna Sokołowska-Gwizdka z autorką książki „Zanussi. Przez przedmioty” podczas urodzin Krzysztofa Zanussiego w Katowicach w czerwcu 2024 r., fot. Jacek Gwizdka

**Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*Austin, Teksas*)

W czwartek 27 czerwca 2024 roku w auli Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Katowicach odbyły się obchody 85. urodzin Krzysztofa Zanussiego połączone z premierą książki

„Zanussi. Przez przedmioty” autorstwa Barbary Gruszki-Zych i Grzegorza Lityńskiego. Miałam okazję uczestniczyć w tej uroczystości. Oto życzenia, jakie napisałam na tę okoliczność:

Szanowny Panie Krzysztofie!

Z Pana filmami zetknęłam się w okresie licealno-studenckim. W tym wieku poszukuje się swojej drogi, zadaje się pytania, szuka się postaw, które mogą być wzorcem. A właśnie kino, które Pan tworzył pobudzało do myślenia, pokazywało różne postawy i drogi życiowe. Dzięki tym filmom uczyłam się myśleć, rozważać, dyskutować, stawiać ważne pytania.

Studiowałam polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim. Wtedy Gombrowicz czy Miłosz byli ocenzurowani. Żeby przeczytać ich dzieła opatrzone stemplem Cymelium, trzeba było udowodnić, że studiuję się literaturę polską i czytać po kawałku w bibliotece. Ale może właśnie dlatego, jakby na przekór, panowała wtedy moda na rozmowy intelektualne, na zainteresowanie literaturą współczesną i ważnymi filmami. Wstyd byłoby nie znać „Iluminacji” czy „Barw ochronnych”. A potem w kawiarni Piekiełko dyskutowało się godzinami na temat warstwy intelektualnej zawartej w tych filmach,

Od ponad dwudziestu lat mieszkam za granicą, najpierw w Kanadzie, potem w USA. Tam, gdzie jestem zawsze chodzę na

spotkania z Panem. Byłam m.in. na projekcji i wspomniałam Pana wystąpieniu w Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Każde ze spotkań niosło mądrość, wiedzę o życiu, intelektualne impresje.

Nie wyobrażam sobie życia bez Pana kina. Kolejne filmy zadają kolejne pytania, a w zmieniającym się świecie, coraz bardziej odartym z wartości i pełnym pozorów, są antidotum na bezwzględność, merkantylizm i coraz to nowe ideologie.

W imieniu swoim i Polonii w Teksasie, dziękuję za wszystkie chwile spędzone z Pana filmami.



Krzysztof Zanussi podczas promocji książki Barbary Gruszkich i Grzegorza Lityńskiego w czerwcu 2024 r. w Katowicach, fot. Jacek Gwizdka

Przypomnę, że w 2019 roku, z okazji 80-tej rocznicy urodzin Krzysztofa Zanussiego, wyszła inna książka Barbary Gruszkich „Zycie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem”. Miałam okazję być na spotkaniu autorskim w Łodzi.



Spotkanie z Krzysztofem Zanussim i Barbarą Gruszką-Zych w

bibliotece Politechniki Łódzkiej, w czerwcu 2019 r., fot. Jacek Gwizdka



\*

Wywiad z Barbarą Gruszką-Zych na temat książki „Życie

rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem”:

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą  
i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych

Obydwie książki o Krzysztofie Zanussim wydało wydawnictwo  
URSINES.

---

Zanussi.

Przez przedmioty.



# Z A N U S S I

## P R Z E Z P R Z E D M I O T Y

zdjęcia  
Grzegorz Lityński

tekst  
Barbara Gruszka-Zych

komentarze  
Krzysztof Zanussi



Książka „Zanussi. Przez przedmioty” to eseistyczno-biograficzna opowieść o Krzysztofie Zanussim, legendarnym reżyserze kina moralnego niepokoju. Ukazała się w przededniu 85-tych urodzin mistrza światowej kinematografii. Jest to wyjątkowy przewodnik, a zarazem esej, napisany przez Barbarę Gruszkę-Zych – poetkę, dziennikarkę, autorkę książki „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem”, od ponad trzydziestu lat zaprzyjaźnioną z małżeństwem Zanussich. Tekst został opatrzony zdjęciami przedstawiającymi otoczenie reżysera, wykonanymi przez znakomitego fotografa Grzegorza Lityńskiego. Bliska

znajomość Gruszki-Zych z jej bohaterami sprawia, że autorka – znawczyni tajników literatury dokumentalnej, wstępuje w krąg tematów rzadko poruszanych w publicznych wystąpieniach i publikacjach reżysera „Barw ochronnych”. Fotografie miejsc zwykle niedostępnych dla odwiedzających dom Zanussich w Laskach oraz ich mieszkania na warszawskim Żoliborzu, jak również – w centrum Paryża, zostały opatrzone komentarzami samego Krzysztofa Zanussiiego. To specjalny walor książki, mającej nie tylko wartość informacyjną, ale też wprowadzającej w specyfikę intymnej narracji reżysera.



Po drugiej stronie lustra widzi się siebie jeszcze raz (Krzysztof Zanussi)



Krzysztof Zanussi

Doskonała jest kompozycja utworu, zbudowanego na równowadze tekstu, zdjęć i komentarzy głównego bohatera. Nie jest tak, jak w wielu publikacjach, że zdjęcia stanowią jakiś niewiele znaczący dodatek lub też tekst jest wstawiony na doczepkę do fotografii. Tutaj istnieje między nimi pełna harmonia.

Tak obmyślaną publikację można nazwać dosłownie i w przenośni, nową odsłoną Krzysztofa Zanussiego, przedstawionego przez posiadane przedmioty. Jak pisze Janusz Nowak: „To kolejny krok na drodze prowadzącej do rozwikłania tajemnic wybitnego reżysera”.

Smaku tej opowieści dodaje mało nagłośniony fakt, że małżeństwo Zanussich nieustannie gości w swoich domach nie tylko znajomych, ale i całkiem obcych, udostępniając im je, aby mogli zwiedzać Warszawę czy Paryż. Nietypowo dla celebrytów potrafi konsekwentnie dzielić się z innymi swoim dorobkiem życia w duchu iście ewangelicznym.

Książka stanowi nie tylko dokumentalny zapis dóbr materialnych Krzysztofa Zanussiego – człowieka z pierwszych stron gazet i jego żony Elżbiety Grocholskiej-Zanussi, ale poprzez nie pokazuje ich życie duchowe. Rzeczy stają się tu nowym alfabetem, zbliżającym zarówno do historii bohaterów, jak i samej autorki tekstu.

Publikacja ma też wymiar eschatologiczny i wanitatywny, dlatego jest wzruszająca, a wrażliwi czytelnicy na pewno w kilku momentach uronią łzę.



Elżbieta i Krzysztof Zanussi



Krzysztof Zanussi

**A oto, co pisze o książce autorka Barbara Gruszka-Zych:**

Takie książki jak „Zanussi. Przez przedmioty” nie biorą się z chwilowych spotkań. Ta zaczęła się podczas moich kolejnych odwiedzin w domu Elżbiety i Krzysztofa Zanussich, kiedy poczułam się u nich jak u siebie. Jakby ściany dzielące miejsce ich życia od mojego przestały istnieć. Te słowa odnoszą się też do naszej wzrastającej z czasem zażyłości, niezbędnej, by dzielić się opowieściami przechowywanymi na niedostępnych dla ogółu półkach pamięci. Stopniowo czułam, jak odsłania się przede mną coraz większa przestrzeń, w której spełnia się życie ważnych dla

mnie ludzi. Z panem Krzysztofem poznaliśmy się nieomal przed trzydziestu pięciu laty. Zwykle zwraca mi uwagę, bym o tym nie wspominała, bo to mnie postarza. Ale w tej chwili go nie słucham, bo dla lepszego wprowadzenia w tę książkę ma to znaczenie.

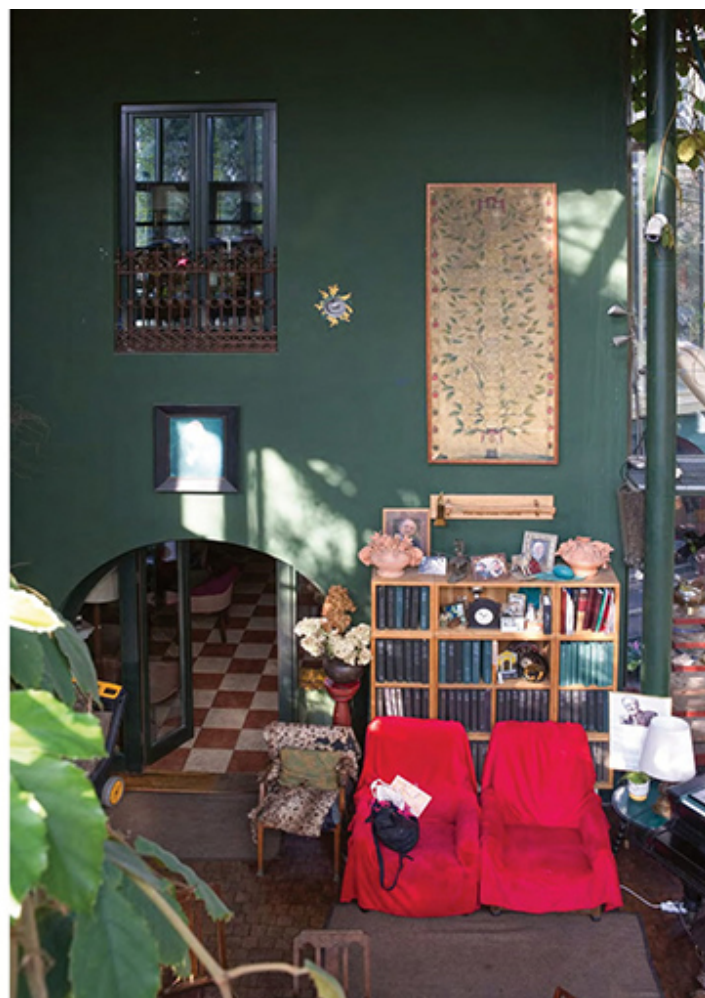
Kiedy przygotowywaliśmy do wydania „Życie rodzinie Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” zrodził się pomysł na powstanie opowieści o reżyserze i jego żonie oglądanych przez otaczające ich rzeczy.

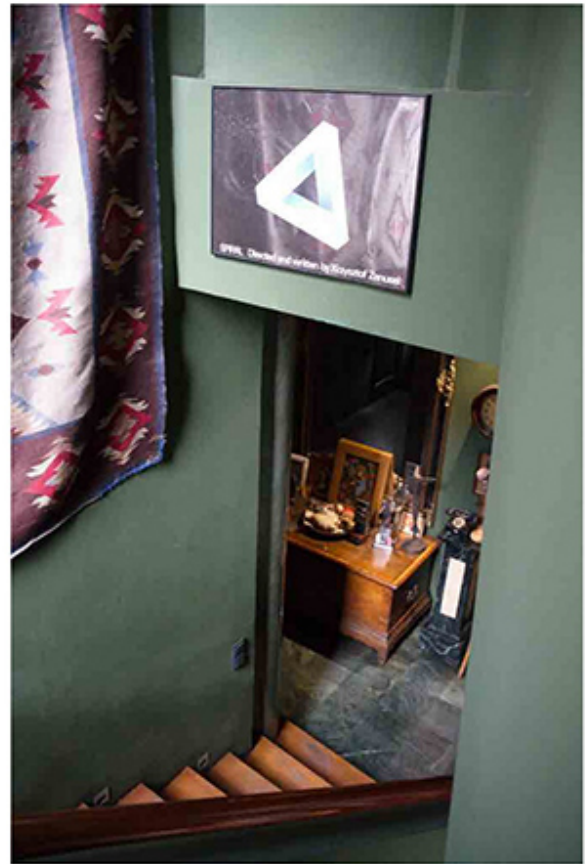
- Chciałbym zachować pamięć o przedmiotach wypełniających wnętrza naszych domów - podzielił się wtedy swoim planem pan Krzysztof.

Zainspirowała mnie ta myśl, bo od zawsze fascynuję się przedmiotami, których wiele utrwaliałam w wierszach. To milczący świadkowie mijającego czasu, zapewniający nam poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie wyrywający nas z niego poprzez przywoływane wspomnienia. Bo któż z nas, próbując choć przez chwilę wrócić do przeszłości, nie przechowuje przybyłych z dzieciństwa misiów i lalek z coraz bardziej zatartymi buziami? Ile na dnie naszych szuflad leży starych notesów i kalendarzy, z których dawno uciekły daty?



**Krzysztof Zanussi:** *Nasz domowy okrągły stół. To brzmi prawie jak symbol, ale naprawdę pozwala zjeść obiad nawet kilkunastu osobom naraz. Gwarantuje nie tylko polityczną sprawiedliwość, lecz także ułatwia rozmowę „na krzyż”. Kiedy zdarzają się przy nim debaty, rozstawiamy z tyłu krzesła i wtedy grono uczestników poszerza się. Dwa czerwone fotele w oranżerii są przeznaczone głównie dla psów, które bardzo lubią to miejsce.*





Do współpracy przy utrwalaniu starych i nowych rzeczy tworzących świat moich bohaterów zaprosiłam Grzegorza Lityńskiego, który dyskretnie i z wyczuciem potrafi towarzyszyć zatrzymywanym w swoich kadrach. – Jestem dużo fotografowany, więc mogę porównać, jak się to komu udaje, dlatego wybieram pana – powiedział pan Krzysztof, będąc pod wrażeniem jego prac. Grzegorz mozolnie dobierał zdjęcia z setek, które zrobił, ja mu coś doradzałam, zadowolona, że mój tekst będzie mógł fruwać na ich skrzydłach.

Wystrój przedstawionych w albumie wnętrz jest zasługą żony reżysera Elżbiety Grocholskiej-Zanussi, artystki malarki,

kierującej się przesłaniem, by wszystko co otacza męża było piękne, gdyż on na to zasługuje. Może przywołane na karty tej książki piękno sprawi, że przez szczelinę między zdjęciami a tekstem Czytelnik będzie mógł, jak pisze Philippe Jaccottet „sięgnąć wzrokiem poza granicę widzialnego”? Namacalne przedmioty stanowią zarazem bramę wprowadzającą w wieczność, ale też pozostają na ziemi jako ślad po tym, kto się nimi otaczał. Na co dzień nawet nie uświadamiamy sobie jak opuszczone przez nas rzeczy będą o nas świadczyć. Nie tylko te, trwające przy nas in articulo mortis, ale i wszystkie inne, zmienione w nasz testament po swojemu odczytywany przez spadkobierców. W moim przypadku kilkanaście wiecznych piór, które może jakoś wpłynęły na mój styl pisania w zależności od tego kto mi je ofiarował. Książki na półce przy biurku ustawione w kolejności podpowiadającej, które mam czytać. Obrazki ze świętymi wyniesionymi na ołtarze i jeszcze nie kanonizowanymi bliskimi, oczekującymi pełnego miłości spojrzenia. I oczywiście klawiatura komputera, na której pieszczę się ze słowami jak z nikim innym na świecie. To moje przyczółki, wydawać by się mogło nie oddania, a jednak wraz ze mną ulegające naporowi czasu.



Przedmioty z historią, ważne dla reżysera



Przedmioty z historią, ważne dla reżysera

Kiedy niedawno porządkowaliśmy mieszkanie po śmierci mojego wujka śp. księdza prałata Jana Szkoca, który przeżywszy 93 lata odszedł od nas w trakcie powstawania tej książki, okazało się jak wielką rolę odgrywają pozostałe po nim przedmioty. Dopóki stały według ustalonego za życia właściciela porządku, on jeszcze był wśród nich. Kiedy je wyniesiono jego pokój zaczął przypominać anonimowe, nieprzynależne do nikogo miejsce, w którym mógłby pohulać sobie wiatr. Żaden wiatr nie wywieje przedmiotów opisanych przeze mnie i utrwalonych na zdjęciach w tej książce. A sam album też jest przecież przedmiotem, który może stanie się częścią świata moich Czytelników.



Barbara Gruszka-Zych

## **Barbara Gruszka-Zych**

Poetka, reportażystka, pisarka, krytyczka literacka. Jest autorką ponad dwudziestu tomików wierszy. Jej zbiorek „Szara jak wróbel” (2012), wybitny krytyk Tomasz Burek umieścił wśród dziesięciu najważniejszych książek, które ukazały się w Polsce po 1989 r. Opublikowała zbiory reportaży „Mało obstawiony święty. Cztery reportaże z Bratem Albertem w tle”, „Zapisz jako...” oraz

książki wspomnieniowe: „Mój poeta” o Czesławie Miłoszu, „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”, a także wywiad rzeke „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” i „Moi ważni. Portrety prywatne”. Laureatka wielu nagród za wywiady i reportaże, m.in. nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich im. Macieja Łukasiewicza (2012) za rozmowę z Wojciechem Kilarem oraz nagród poetyckich, m.in. nagrody im. ks. Jana Twardowskiego (2015), a także za upowszechnianie kultury i nauki m. in. nagrody Marszałka Województwa Śląskiego im. Karola Miarki (2023 i 2024). Była stypendystką wiedeńskiej Fundacji Janineum (2002), Fundacji Jana Pawła II w Rzymie (2003), Fundacji Heinrich & Jane Ledig-Rowohlft w Lavigny w Szwajcarii (2014).



Grzegorz Lityński

## **Grzegorz Lityński**

Fotograf, kurator wystaw, wykładowca. Prowadzi zajęcia dydaktyczne na studiach podyplomowych, kursy, plenery w języku polskim, niemieckim i angielskim. Swoje zdjęcia prezentował na licznych wystawach indywidualnych w USA, Niemczech i Polsce, między innymi w Ukrainian National Museum of Chicago, Minnesota State Capitol, University of St. Thomas, Chicago History Museum, Dwell Studio of Chicago, Deutsches Polen-Institut w Darmstadt, Kunstverein Oerlinghausen e.V., Narodowym Centrum Kultury w Warszawie i Europejskiej Stolicy Kultury w rodzinnym Wrocławiu. Był stypendystą Akademii am Tönsberg (2023). Został uhonorowany

BZWBK Press Foto w kategorii „Życie codzienne” (2014).  
Realizuje projekty dokumentalne na całym świecie. Odwiedził ponad siedemdziesiąt krajów od Australii, poprzez Bhutan, Botswanę, Laos, po Spitsbergen. Jest autorem dwóch akademickich podręczników o fotografii oraz angielskojęzycznej historii laparoskopii „Highlights in the History of Laparoscopy” (1996).

**Fotografie autorstwa Grzegorza Lityńskiego pochodzą z albumu „Zanussi. Przez przedmioty.”**

**Barbara Gruszka-Zych, Grzegorza Lityński: Zanussi. Przez przedmioty, wyd. Ursines, Czeladź 2024.**

---

Jakby chciała  
zawrócić tamten

czas. Portret Lilianny  
Rydzyńskiej  
uzupełniony i wciąż  
odkrywany.

**Bogumiła Żongołłowicz** (*Melbourne, Australia*)



*Liliana Rydzyńska, Australia 1970 r., fot. ze zbiorów Bogumiły Żongołłowicz*

*Jest w nas nieprzewyciężona potrzeba przekazania części siebie - ale przecież nie biegniemy z tym do pierwszego lepszego człowieka! - pisała Liliana Rydzyńska w jednym ze swoich autobiograficznych opowiadań. Wspominała w nim warszawskie nastoletnie czasy, miała wówczas beztroskie usposobienie i duże zdziwione oczy, a w „Stodole”, Centralnym Klubie Studentów Politechniki Warszawskiej, królował rock and roll.*

W grudniu 2004 roku wysłała do mnie swoją najnowszą, a zarazem ostatnią książkę *Mój Henry. Opowieść o umieraniu* z porażającą dedykacją: „Bogumile, która zna śmierci nie swoje, aby zrozumiała moją”. Nie wiedziała, że ma nieaktualny adres i jej „święteczny prezent” dla mnie (do książki dołączyła bluzkę w kolorze łososiowym) trafi w ręce obcych – obcych jej, znajomych mnie. Odebrałam przesyłkę w połowie stycznia, gdy opadła świąteczno-noworoczna gorączka. Liliana odeszła za kilka dni. To była jej druga, tym razem udana, próba samobójcza...

Czy czekała na moją wyciągniętą rękę, a teraz z zaświatów upomina się o przypomnienie? Czy byłam gwoździem do jej trumny? Te rozważania wciąż są w mojej głowie, a rocznica jej śmierci, szczególnie „okrągła” (dwudziesta), potęguje moje uczucia. Nasze relacje bywały trudne, zmienne, ale nie można odmówić im miana serdeczności i empatii względem emigracyjnego losu. Niniejszy szkic jest więc formą weryfikowania biografii Liliany Rydzyńskiej.

Była starsza ode mnie o siedemnaście lat, osiadła w Australii w 1968 roku. Poznała wówczas Andrzeja Chciuka, który stał się z czasem moją wizytówką twórczą. Drukował jej teksty w „Marginesie”, dodatku literackim „Tygodnika Polskiego” (Melbourne), co odnotowałam w jego biografii *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów* (1999, 2021).

Wzmianka o Lilianie w tej książce, jak o wielu innych współpracownikach pisma, dotknęła ją do żywego. Dała temu wyraz w artykule *Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografów* (*Archiwum Emigracji: studia szkice, dokumenty*. 2002/2003, t. 5/6.). Wręcz zrugła mnie za to, że nie protestowałam, kiedy nazwano mnie „najlepszym współczesnym piórem polskim w Australii” (M. Kałuski, *Literat zasługujący na pamięć*, „Polish Kurier” 139/1999).

Poznałyśmy się 5 czerwca 1993 roku w domu Barbary i Jacka Antasów w Melbourne na zorganizowanym dla niej wieczorze poezji, który mgliście sobie przypominam. Datę odkryłam na odwrocie zachowanej przez nią fotografii z odręcznym komentarzem: „Niefortunne poznanie Joli ‘Wolskiej’, książek nie sprzedawałam. (...) Ludzie nieprzyjemni, prowincjusze; B. Żongołłowicz nieprzyjemna i obca, przyszli się nażreć i wypić, ale musieli słuchać poezji!”. Rzeczywiście, atmosfera dla obu stron była niemiła, ponieważ jedna z zaproszonych osób po wysłuchaniu wiersza zatytułowanego *Czerwone trzewiczki* zapytała, czy powstanie wiersz o czerwonych majteczkach. Nie zajęłam żadnego stanowiska. Byłam w tamtym czasie w zawansowanej ciąży.

W 1999 roku Liliana pozowała ze mną do grupowego zdjęcia po promocji książki o Andrzeju Chciuku i napisała entuzjastyczną relację z tego wydarzenia[1]. Wcześniej udzieliła mi wywiadu do

referatu, który wygłosiłam podczas IV Symposium Biografistyki Polonijnej w Wiedniu poświęconego losom Polek żyjących na obczyźnie. W późniejszym okresie dokonała „nadużycia” zmieniając jego tytuł na *Liliana Rydzyńska. Portret współczesnej poetki* i umieszczając na tylnych okładkach swoich książek. Dziś uważa się, że właśnie ten artykuł najpełniej przybliżył jej biografię i twórczość „związaną z odkrywaniem świata kultury i literatury”. Po wywiadzie podarowała mi swój tomik wierszy *Odpycham kosmos* z dedykacją: „Dla Bogumiły - na ten łut szczęścia, którego potrzeba - reszta nieważna! Melbourne, 12.02.99 r.”.



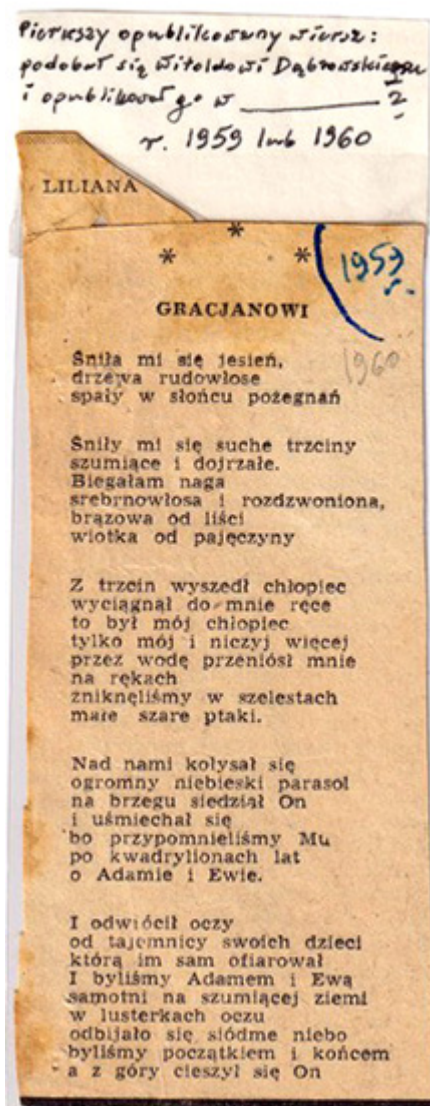
Po promocji książki Bogumiły Żongołłowicz „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów”, Liliana Rydzyńska (pierwsza od lewej), autorka artykułu (w środku), Armagh, Toorak, Melbourne, 17 października 1999 r., fot. ze zbiorów Bogumiły Żongołłowicz

Określenie mnie mianem biografą zmusza do rewizji „wiedeńskiego” artykułu. Był autoryzowany przez Lilianę, a mimo to zawiera błędy. Swoją obecną wiedzę czerpię między innymi z pękatej teki z napisem na grzbiecie: „Liliana Rydzyńska. Twórczość i działalność po polsku i po angielsku. Publikacje w magazynach i czasopismach, recenzje 1970-1990-te. Publications and performances; reviews in English and in Polish”. Ten obszerny materiał z archiwum Liliany został mi przekazany w jakiś czas po jej śmierci. Bogatym źródłem informacji są jej adnotacje na marginesach wycinków prasowych i zapiski na luźnych kartkach, podpisy na odwrotach zdjęć z różnych wydarzeń literackich, a także kilka wersji *curriculum vitae*.

Podobnie jak Andrzej Chciuk jestem „gorącą zwolenniczką” jej wierszy „kobięcych, delikatnych, obsesyjnych i oryginalnych” (*Dorobek twórczy Polaków w Australii i Nowej Zelandii* („Pamiętnik Literacki”, Londyn 1978, t. 2). To drugi powód ponownego pochylenia się nad życiem i twórczością Lilith, jak kiedyś siebie nazwała[1].

\*

To, co z biografii jest pewne... Liliana Rydzyńska (z. domu Jędrzejczyk, Barbara Liliana Rydzyńska, Barbara Liliana Galen, Liliana Rydzyńska-Gołąbiewska, Liliana Golabiewski) urodziła się 30 kwietnia 1938 roku w Dziepólni w powiecie radomskim, w służbowym mieszkaniu przy szkole. Miała brata i siostrę. W czasie okupacji rodzice – oboje nauczyciele – byli kilkakrotnie przesiedlani. Po wyzwoleniu powrócili do Dziepólni, gdzie ojciec zorganizował szkołę podstawową, której został kierownikiem. Uczęszczała do Liceum Ogólnokształcącego nr 1 w Radomsku. W 1955 roku otrzymała świadectwo dojrzałości i została przyjęta na Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Wstąpiła do Związku Studentów Polskich.



Była otwarta na świat, kipiała pasją poznawania. „(...) huśtałam się lekkomyślnie na tej fali nowości. Brałam wszystko, co mi (...) życie przyniosło – bez wyboru i bez zastanowienia – złe czy dobre”, wspominała[2]. Po pierwszym semestrze przerwała studia „z powodu ciężkich przejść psychicznych”[3].

Do 1960 roku pozostawała przy rodzicach, kiedy to wyszła za mąż za Macieja Gracjana Rydzyńskiego – studenta biologii i medycyny weterynaryjnej. Późniejszego lekarza weterynarii uparcie określała tylko lekarzem[4]. Podjęła pracę jako

instruktorka kulturalno-oświatowa w Domu Kultury na Żeraniu. Był to przełomowy okres w jej życiu. Świadczą o tym słowa:

Dopiero, gdy zaczęłam pracować w Fabryce Samochodów Osobowych (...) niespodziewanie doceniłam swoje powołanie poetki; odkryłam bowiem, że moja własna poezja posiada czarodziejską moc, kiedy to jak za dotknięciem różdżki życie, za sprawą poezji przeniosło mnie z nudnego ślęczenia początkującej urzędniczki do aktywnej współpracy z gazetą fabryczną, gdzie redaktorzy cenili mnie jak skarb i to właśnie za te moje wiersze! Zadbali oni gorliwie o to, abym się nie marnowała przy kartotekach; przenieśli mnie do biblioteki, a potem do Domu Kultury jako jego kierowniczkę (nie żebym miała tam specjalne pole do popisu wśród uparcie pijącego piwo, nie dbającego wiele o kulturę proletariatu). Ale przede wszystkim stałam się poetką „na etacie”.

(...) byłam podekscytowana faktem, że w roboczej gazecie podporządkowanej niepodzielnie partii PRL-owskiej propagandzie rozwijały się co tydzień jak z rulonu wiersze o różnej tematyce, a już na pewno niemające nic wspólnego z budowaniem socjalizmu. Myślałam z radością i buńczuczną przekorą, że robotnicy *nolens volens* muszą rzucać na nie okiem i może nawet czytać![5].

W zakładowym tygodniku „Fakty”, powstała rubryka „Kawiarenka Poetycka”. To tu drukowano jej wiersze: *Pokój ocalały wśród ruin, Słowa, Wróc mnie, Żongler, Rozstanie* ilustrowane przez Leszka Lombarowicza. Czytała je w Związku Literatów Polskich, do którego wstąpiła. Wraz z innymi młodymi poetami brała udział w spotkaniach w studenckim klubie „Hybrydy”, do którego należeli między innymi Krzysztof Gąsiorowski, Zbigniew Jerzyna, Janusz Żernicki, Edward Stachura, Jarosław Markiewicz i Barbara Sadowska. Uczestniczyła w spotkaniach literackich w mieszkaniu Alicji Lisieckiej. (...) *miała cały czas aspiracje twórcze i czuła się w zasadzie dobrze jedynie w swoim środowisku, literackim* – napisał w pozwie rozwodowym jej mąż.

Debiutowała niemal jednocześnie w dwóch czasopismach „Zielonym Sztandarze” (*Letni deszcz*, 47/1960) i „Tygodniku Kulturalnym”[6] (*Pies*, 48/1960). W 1962 roku jej wiersze ukazały się w *Almanachu Młodych* pod redakcją Artura Międzyrzeckiego.

## **Kawiarenka poetycka**

### *W tym mieście...*

(Z cyklu „O Warszawie”)

W tym mieście oczy kobiet  
jak kwiaty i czujne światła  
i ręce drobne  
na kierownicach i sercach  
rankiem gołębie skrzydła opasują dachy  
kołatką dzwoni czerwień  
a poszumem zieleń  
jak wdzięcznie tramwaj potrafi się przegiąć  
gdy arebeska szyn na skręcie...  
w tym mieście  
tramwaj jest poezją.

**LILIANA RYDZYŃSKA**



Autorka wiersza — p. Liliana Rydyńska z Domu Kultury FSO, w czasie wieczoru autorskiego w Związku Literatów Polskich.

\*

Powróciła na studia na Uniwersytecie Warszawskim w systemie zaocznym. Otrzymała zaliczenie za dwa lata polonistyki (1962/1963 i 1964/1965)[7]. W 1964 roku wybrała się na mały rekonesans do Paryża. Zapisła się na kurs cywilizacji francuskiej na Sorbonie. Drugi pobyt w mieście o niepowtarzalnej atmosferze, jak go odbierała, potrwał kilka lat. Zrealizowała wtedy z Julianem Pappé krótkometrażówkę surrealistyczną *Śmierć karpia* w Studio Magic-Film. Reżyser pochodził z Rzeszowa. Był ponadto autorem zdjęć filmowych. Na utrzymanie zarabiała jako kelnerka i urzędniczka w zakładach Renault w Boulogne-Billancourt. Kiedy została bez pracy,

pieniędzy i pozwolenia na dalszy pobyt, bliska załamania psychicznego, zwróciła się o pomoc do Jerzego Giedroycia. Uzyskała wsparcie. To z tego okresu pochodzą jej wiersze *Cierpienie tobie, Życzenia, W Hotelu de Lutèce*[8] opublikowane w „Kulturze” (1969/1-2). W autobiograficznym opowiadaniu *Lalla* (autobiografizm dominuje w jej twórczości) pisała:

Ja nie mogę dłużej żyć w Paryżu, gdzie moje najlepsze cechy pozostają niewykorzystane. Zdaje mi się, że gubię się, że żyję tylko połową siebie. Nie mam z kim dzielić pewnych wartości, których dzielenie z ludźmi bliskimi stanowi największą radość mojego życia, jest prawie podstawą mojego istnienia. Pokazałam, że potrafię żyć życiem paryskim, a teraz, znudzona i zde gustowana, odchodzę. Niosłam serdeczność i ciepło wynikające ze szczerości, przyjaźń i głębię – oceniano i brano ode mnie tylko cechy fizyczne. Uroda i ciało. Ciało i uroda. Moja dusza buntuje się i narzuca swoją wolę ciału. Odbudowuję zburzone wartości i wiarę w ideały, próbuję wpoić w siebie nadzieję. Nie wolno, aby Paryż mnie zniszczył, powinno mnie coś wyrwać z tego miasta...[9].

Pod koniec października 1968 roku przyleciała do Australii, do siostry Krystyny, byłej tancerki Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Wyszła za mąż za Henry’ego Galena,

który był świadkiem jej przylotu do Melbourne. Wkrótce zawarte małżeństwo przetrwało aż do jego śmierci w 2003 roku. Henry-Henryk okazał się jej największym protektorem. *Czasami jest to jedyna moja pewność/ w tym rozbitym, nierealnym świecie* [10] - wyznawała.



*Liliana Rydzyńska z mężem Henrykiem, Melbourne 1970 r.,  
fot. ze zbiorów Bogumiły Żongołłowicz*

Nazwisko „Galen” nie pojawia się w żadnej nocy biograficznej Liliany, jakby nie miało znaczenia, choć używała go formalnie

przez ponad dziesięć lat, co potwierdzają zachowane dokumenty: listy elektoralne (1972, 1977, 1980), dyplom ukończenia Sydney University oraz legitymacje Fellowship of Australian Writers (1975) i Australian Society of Authors (1979–1980). W tym czasie mieszkali już w Sydney, gdzie Henryk pracował, a Liliana studiowała *Arts*.

Związała się z grupą poetów etnicznych skupionych wokół magazynu „Aspekt” i The Saturday Poetry Centre, które prowadziła Patricie Laird. Laird kierowała w teatrze „Ensemble” sceną prezentacji twórczości młodych etników. Wydawała także periodyk „SCOPP”.

Przez dziesięć lat Liliana Rydzyńska publikowała prawie wyłącznie po angielsku. Wydała tomiki poezji: *Castle* (Sydney 1975), *The Earthquake* (Sydney 1978), *Celebration* (Sydney 1982). Publikowała również wiersze, opowiadania i eseje w pismach takich jak: „Quadrant”, „Union Record”, „Education” i LiNQ, a także w antologiach, m. in. *Ethnic Australia, Ethnic Writings in English from Australia* oraz *Joseph' Coat*.

Odbyła z mężem kilka podróży do Europy. Odwiedzili między innymi Grecję, Hiszpanię i Francję. W 1992 roku ukazało się w Polsce jej *Ścinanie róż* z wierszami o Australii. *Jest w nich naiwna nadzieja młodości, ale i pierwsze „zaczątki” późniejszych bardziej dojrzałych przemyśleń. Jest w nich niepokorność,*

zdziwienie i zachwyt nad urodą życia – pisał Zbigniew Jerzyna. –  
„Nowej ojczyźnie” zdołała zaofiarować jedynie ironię[11].

## MAŻ

Kiedy dzień się kończy odczuwam tę więź  
między tobą a mną, żyjących w innych światach  
łączących się o zmroku. Wiem, że przyjdiesz  
jak zwykle — jak ranek lub wieczór nadchodzi  
z zadziwiającą akuratanością i zgodnością z czasem.

Czasami jest to jedyna moja pewność  
w tym rozbitym, nierealnym świecie; że gdy  
się zjawisz  
zapanuje to uroczyste święto codzienności  
z zapachem strawy i rozmową serdeczną.

Ty jesteś tym prawdziwym, który nigdy nie może  
pozwolić sobie na ucieczkę lub zdradę dnia  
powszedniego.

Zdumiona obserwuję tę ludzką wytrzymałość —  
jak dzień za dniem i rok za rokiem  
twoje ręce przyspieszają to, co umysł twój  
by opóźnił  
ponieważ tylko twoje dwie ręce potrafią  
realizować nasze marzenia —

Nikt nie podziwia cię, nie opiewa takich, jak ty  
nigdy nie zaskakujesz niczyjego umysłu —  
ale w tobie jedynym życie odnajduje  
swoją trwałą, niezniszczalną symbol —  
jak doskonała, zwarta forma zahartowana w ogniu.

*Liliana Rydzyńska*

Pokłosie europejskich podróży zawiera książka *Odpycham kosmos* wydana rok później w Melbourne. Tytuł zbioru stanowi aluzję do formuły Haliny Poświatowskiej „odpycham nogą wszechświat”. Pomimo tej tytułowej deklaracji, Rydzyńska zdaje sobie sprawę z nieogarnionej wszechobecności kosmosu. Bezpieczna czuje się *na starej ziemi/matce poezji... kołysce*

boleści"[12]. Marek Baterowicz w artykule zatytułowanym *Między kołyską a wybrzeżem* („Kurier Zachodni” 79-80/1993) uznał poezję za „bliźniaczą siostrę życia Liliany”. W 1994 roku wyszedł tom opowiadań *Pozwólcie owocom dojrzewać*. Pochlebna recenzja ukazała się w „Wiadomościach Kulturalnych” (25/1996).

Małe i dłuższe prozy – są to często majstersztyki psychologiczne, określające osobowość kobiety, mężczyzny jakimś nagłym niespodziewanym gestem, poruszeniem, odezwaniem, reakcją na sytuację. (...) Wbrew dzisiejszym mrocznym spojrzeniom Rydzyńska ceni sobie urodę życia. Stąd jej pasja i ciekawość świata, gorącość uczuć i zmysłów[13].

W 1996 roku Galenowie, a raczej już Gołębiewscy zdecydowali się na powrót to Polski. Sprzedali ładnie urządzone przestrzenne mieszkanie w Melbourne przekonani, że do Australii nie wrócą. Zamieszkali w Warszawie i dość szybko pożałowali podjętej decyzji. Choć miasto, do którego tęskniła poetka, na nowo stawało się europejskim, Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście powracały do dawnej oryginalności, na Pradze, można było zobaczyć zaniedbane domy i skrajną biedę. Jej spostrzeżenia i refleksje miały również charakter socjologiczny:

Podział Polaków na zamożnych i biednych jest jednym z

elementów głębszego i szalenie niepokojącego rozbitcia całego społeczeństwa na grupy, stronnictwa i koterię, fakt, który absolutnie nie jest wynikiem rozwoju demokracji w kraju, ani też nie daje świadectwa o jej istnieniu, jak to niektórzy próbują tłumaczyć. Jest to zjawisko tragiczne mogące mieć jak najbardziej negatywny wpływ na przyszłość Polski. Naród znowu narażony jest na skłócenie wewnętrzne, na podjudzanie, szukanie mniejszości narodowych, kozłów ofiarnych i na szkodliwą, wprost trująca działalność najgorszych elementów. Skąd one się biorą? Jak zwykle z tych, którzy samozwali się i będą samozwali „prawdziwymi Polakami”, a w rzeczywistości są zwykłymi warchołami niegodnymi wolnej Polski[14].

Po powrocie do Australii nie mogli sobie pozwolić na standard życia, do jakiego byli przyzwyczajeni. Podczas ich dwuletniej nieobecności ceny nieruchomości wzrosły. Kupili w Melbourne małe mieszkanie, w którym nigdy nie czuli się dobrze.

\*

Widziałyśmy się może łącznie trzy, cztery razy. Skąd więc decyzja przesłania mi swojej ostatniej publikacji z desperackim wołaniem-wyznaniem? Niemal cały, liczący sto egzemplarzy nakład, pozostał w jej mieszkaniu. Chciała, żebym odwiodła ją,

przekonała, powstrzymała przed krokiem, który kończy drogę życia? Wiedziała, że przemijanie jest wiodącym tematem moich wierszy, że upamiętniam tych, którzy odchodzą. Może właśnie o to zabiegała...

Nadchodząca dwudziesta rocznica śmierci Lilianny wzbudziła w mnie potrzebę odnalezienia miejsca jej pochówku. Najpierw ustaliłam, na jakim cmentarzu leży. Wcześniejsze „przezesywanie” nekropolii w Berwick, odległej dzielnicy Melbourne, którą wymienia Robert Larken, a właściwie Edmund Kurlito – autor książki *Miłość emigrantki, czyli prawo bumeranga* – powieściowej biografii Lilianny, z którą zaprzyjaźnił się na kilka miesięcy przed jej tragiczną śmiercią, nie przyniosło oczekiwanego efektu. Postanowiłam działać w inny sposób. Skontaktowałam się z Berwick & Harkaway Cemeteries Trust. Belinda Smart przysłała mi zdjęcie grobu i opisała jego położenie. *Po przekroczeniu głównej bramy popatrz w prawo – napisała. Na pewno szybko zlokalizujesz pomnik – Monumental 771.*



*Grób Lilianny Rydzyńskiej, Harkaway Cemetery 2025 r., fot. Bogumiła Żongołłowicz*

Harkaway leży po sąsiedzku z Berwick. Do grobu Lilianny złożono też prochy jej męża dotychczas przechowywane przez wdowę w mieszkaniu, w którym zmarł. *Ja sam mogę być spalony; ale ty musisz być tam, gdzie ludzie będą mogli cię odwiedzać!* – mówił przed śmiercią. Podpisała Refusal of Treatment Certificate: Competent Person (rezygnację z uporczywej terapii), *ponieważ nie mam tu rodziny i jestem sama* – tłumaczyła się przed czytelnikami ze swojej decyzji. *Przy świeżo wykopanym grobie stało kilka osób trzymających w rękach połamane przez wiatr*

*parasole. Adwokat, ksiądz (...), Karolina, Michael, Nika i ja –* pisał Larken – *siostra, która przyleciała z Barcelony i brat z Sydney*[15]. Jedno z ostatnich pytań, jakie mu zadała, brzmiało: (...) *umrę jako Królowna czy Kopciuszek?*

Odchodziła spragniona prawdziwych literackich klimatów, bardziej polskich niż innojęzycznych, „jakby chciała zawrócić tamten czas”. Jej krótki pobyt w kraju naznaczony był powrotem do młodych lat i przyjaźni, z których najbardziej znacząca była ta ze Zbigniewem Jerzyną.

Zastanawiam się, kto wybrał ten mały cmentarz na odludziu na miejsce pochówku. Nie wykluczam, że sama Liliana. Założony w XIX wieku jest miejscem spoczynku pionierów i członków społeczności, którzy ukształtowali historię Harkaway. Otoczony naturalnym pięknem emanuje poczuciem cichej refleksji. Chyba właśnie tego było jej najbardziej potrzeba. Pośmiertnego wyciszenia.

\*

## **Czemuż to lękamy się śmierci?**

Lukrecjusz (ok. 99-55 p.n.e.)

Dlaczego śmierć tak przeraża człowieka

Gdy duszę i ciało jednaki koniec czeka?

Kiedy śmiertelna powłoka z nas opadnie

I życia pozbawiony ciało stanie się bezwładne

Od troski i bólu będziemy uwolnieni -

Nie czując nic więcej, gdy być przestaniemy.

Ale przypuśćmy, że po spotkaniu swego losu

Dusza wciąż jeszcze czuje podwójność tego ciosu.

Czym to jest dla nas? Wszak tylko wtedy jesteśmy sobą

Gdy ciało i dusza są jedną osobą.

Nawet gdyby nasze atomy miały powtórny szansę

Ożywić martwą materię ponownym kontredansem,

Jakąż to przyniosłoby nam korzyść?

Nowy stwór byłby to przecież nowy człowiek.

My, umarli, nieobecni, nie wzięlibyśmy udziału

We wszystkich uciech życia karnawału

Który nowemu człowiekowi w udziale przypadnie

Z naszej materii przez Czas zlepiony składnie.

A więc nabierz otuchy i słuchaj nabożnie.

Czego się jeszcze u śmierci lękać można?

Wszystko, co po tej przerwie w życiu nastąpiło

Pozostaje tym samym – jak gdyby nas nie było.

\*

tłum. **Against the fear of death**

(John Dryden, 1685)

tłum. na język polski Liliana Rydzyńska (1998)

\*



*Bogumiła Żongołłowicz opowiada o Lilianie Rydzyńskiej w kawiarence „Pod Pegazem” w Klubie Polskim w dzielnicy Ashfield w Sydney, 31 października 2009 r. W tle portret poetki autorstwa Łucjana Milchalskiego, fot. z archiwum Bogumiły Żongołłowicz*

\*

---

[1] L. Rydzyńska, *Szlakami „enfant terrible” Polonii*

*australijskiej*, „Tygodnik Polski” 1999, nr 41, s. 19.

[1] Ta wersja imienia pojawiła się w tytule wspomnienia Eli Celejewskiej zatytułowanego *Odeszła Lilith...*, opublikowanego w sydneyjskim „Expressie Wieczornym” (19/2005). Autorka podaje tu błędnie nazwisko poetki – „Gołębiewska” zamiast „Gołębiewska”.

[2] L. Rydzyńska, *Ta, której oczy płonęły w zachodzie*, „Tygodnik Polski” (Melbourne) 1999, nr 48, s. 33.

[3] Podanie o ponowne przyjęcie na studia, 2 lipca 1962. Teczka studentki Barbary Rydzyńskiej.

[4] W artykule *Od podróży do podróży* [w:] *Losy Polek żyjących na obczyźnie i ich wkład w kulturę i naukę świata. Historia i współczesność. Materiały IV Symposium Biografistyki Polonijnej. Wiedeń, 1-2 września 1999*, pod red. A. i Z. Judyckich, Lublin 1999, s. 361-365.

[5] L. Rydzyńska, *Ta, której oczy płonęły w zachodzie*, s. 33.

[6] „Tygodnik Kulturalny”, *czasopismo społ.-kult.*, wyd. 1961-1990 w Warszawie, pocz. pod nazwą „Orka” (1957-1960, związane z ZSL), „Tygodnik Kulturalny. Orka” (1960-1961); pismo zajmowało się upowszechnianiem kultury na wsi i w

małych miasteczkach, ruchem regionalnym, zagadnieniami socjol. dotyczącymi inteligencji pochodzenia wiejskiego.

[7] Zaświadczenie Studium Zaocznego Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, datowane 6 XII 1967. Archiwum UW,teczka studentki Barbary Rydzyńskiej. Odbierający dokumenty dołączone do podania o przyjęcie na studia: Maciej Rydzyński. W artykule *Od podróży do podróży* podałam, że pierwszy mąż Liliany Rydzyńskiej był lekarzem i miał na imię Gracjan. Informacje te uzyskałam od niej samej poetki. Rydzyński miał oficjalnie dwa imiona: Maciej Gracjan. Zmarł w 1996 r.

[8] W „Kulturze” ten wiersz ma jedną zwrotkę. W tomie liczy pięć zwrotek i dedykowany jest Julianowi (s. 46).

[9] L. Rydzyńska, *Lalla* [w:] *Pozwólcie owocom dojrzewać*, Melbourne 1994, s. 91-92.

[10] L. Rydzyńska, *Odpycham kosmos*, Warszawa 1993, s. 77.

[11] Z. Jerzyna, *O poezji Liliany Rydzyńskiej* [w:] *Ścinanie róż*, s. 61.

[12] Motto tomu *Odpycham kosmos*.

[13] Z. Jerzyna, *Kobiecość cudownie odsłonięta* „Wiadomości Kulturalne” 1996, nr 25, s. 13.

[14] L. Rydzyńska, *Pisane z Warszawy*, „Polish Kurier” (Zachodni) 1996, nr 113, s. 26.

[15] R. Larken, *Miłość emigrantki, czyli prawo bumeranga*, Toruń 2006, s. 151.

\*

**Zobacz też:**

Powrót z niepamięci

---

# Życzenia na Boże

# Narodzenie i Nowy Rok 2025



\*

Drodzy czytelnicy i kochani autorzy magazynu „Culture Avenue”,

Niech te świąteczne chwile przyniosą Wam ciepło i spokój, tak bliskie domowej, polskiej tradycji. Niech wspomnienie

rodzinnego stołu, zapach choinki i dźwięk kolęd rozbrzmiewają w sercach – nawet tysiące kilometrów od ojczystego kraju. Życzę Wam, byście w każdym zakątku świata odnajdowali ślady naszej kultury, która łączy, inspiruje i przypomina o tym, skąd pochodzimy.

W nadchodzącym 2025 roku niech spełniają się Wasze marzenia, a sztuka, literatura, muzyka i film niech staną się mostami, po których swobodnie wracacie do korzeni. Obyście mogli, dzięki kulturze, poszerzać horyzonty, budować więzi z innymi i pielęgnować to, co w duszy najcenniejsze.

Wesołych, rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku pełnego dobrych emocji, twórczej energii oraz pięknych spotkań z polskością!

*Joanna Sokołowska-Gwizdka*

*Redaktor*

---

**Zobacz też:**

Magiczna wigilijna noc

Zaczarowane Święta

Legenda Świętego Mikołaja

Choinka i świąteczne kartki w historii i tradycji

Choinka pełna ozdób

Głośna sława „Cichej nocy”

Choinka w Zimowym Ogrodzie

---

# Podróżując po Kanadzie z Miłoszem

**Katarzyna Szrodt** (*Montreal*)

*Ciemno Wielmożny Profesor Miłosz*

*Który pisywał wiersze w bliżej nieznanym*

*języku*

(Cz. Miłosz - Czarodziejska góra)



*Czesław Miłosz w Toronto, 1980 r., fot. Marek Śmieja*

\*

Czesław Miłosz – poeta, prozaik, tłumacz, eseista, wykładowca akademicki, laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1980 roku – to gigant literacki, którego dorobek jednocześnie fascynuje i przytłacza. Od lat był tym największym i najważniejszym, autorytetem i mędrcom, fenomenem twórcy, który zachował witalność i kreatywność do późnej starości. Zmarł dwadzieścia lat temu, w 2004 roku w Krakowie, w wieku 93 lat i w związku z okrągłą datą 20 lat, jakie upłynęły od śmierci, Senat

Rzeczypospolitej uchwalił rok 2024 Rokiem Czesława Miłosza. Warto było wykorzystać tę okazję i przypomnieć Polakom mieszkającym w Kanadzie twórczość poety. To zainspirowało mnie do stworzenia programu poetycko-muzycznego, w którym narrację o etapach życia poety przeplatały wiersze i utwory muzyczne.

Rok Miłosza w Kanadzie otworzył 17 października w Ottawie pan ambasador RP Witold Dzielski. Ten wieczór był szczególnie uroczysty – wiersze recytowali znana wszystkim aktorka Liliana Komorowska i Łukasz Przybyła – Polak urodzony w Kanadzie, świetnie mówiący po polsku, a Nadia Monczak (skrzypce) i Olga Kudriakova (fortepian), dały mały koncert muzyki klasycznej. Już tylko z Lilianą Komorowską pojechałyśmy do Toronto i tam, 20 października, w pięknym salonie konsulatu, w ciepłe, niedzielne popołudnie, przy oknach otwartych na ogród i na Ontario Lake, zaprezentowałyśmy zaproszonym gościom nasz program. Tak, jak dla mnie, osoba i twórczość Miłosza, po kilku miesiącach pracy nad programem, stały się bliskie i ważne, tak też wiersze Miłosza „przemówiły” do Liliany Komorowskiej, co przełożyło się na porywającą ich interpretację, która wszystkich zachwyciła.



*Ottawa, 17 października 2024 r., początek trasy w Miłoszem, Katarzyna Szrodt (z lewej) i Liliana Komorowska, fot. arch. K. Szrodt*

Kolejnym etapem naszej „podróży z Miłoszem” był konsulat RP w Vancouver. W minionym roku gościliśmy w Vancouver z wieczorem poświęconym poezji Wisławy Szymborskiej, a teraz zaprezentowałyśmy drugiego naszego noblistę. Nasz wieczór poezji i tym razem – muzyki jazzowej, uświetnił obchody Święta Niepodległości. Tamtejsza polska diaspora zdaje się wyjątkowo stęskniona za tego typu wydarzeniami, które, od czasu objęcia

funkcji konsula generalnego, organizuje im z wielkim powodzeniem Aleksandra Kucy. Rok Miłosza zakończył wieczór w konsulacie RP w Montrealu, poszerzony o kilka wierszy Miłosza w tłumaczeniu na angielski, z udziałem Liliany Komorowskiej i Łukasza Przybyła oraz z oprawą muzyczną Nadii Monczak i Olgi Kudriakovej.

Jak czytać Miłosza dzisiaj? Czy ciągle jego dzieła prozatorskie i liryczne mogą nam coś ważnego przekazać, wzruszyć lub zainspirować? Czesław Miłosz, mieszkając w Berkeley od początku lat 60., często przyjeżdżał do Kanady na spotkania autorskie – czytał wiersze, rozmawiał z publicznością o swojej twórczości. Wszędzie tam, gdzie grany był nasz program: w ambasadzie RP w Ottawie, w konsulacie RP w Toronto, konsulacie RP w Vancouver i w Montrealu – w każdym z tych miejsc, spotkałam osoby pamiętające kanadyjskie wizyty poety w latach 70. i 80. Znany pisarz gdański Stefan Chwin, który dobrze znał poetę, tak go określił: „Był to duch potężny i mroczny, który z zadziwiającym uporem przerabiał siebie na jasność”. Charakterystyczna dla Miłosza była jego wyniosłość i chmurność. W młodości „dumny był jak sam diabeł”. Od początku czuł szczególną odpowiedzialność za polską poezję, słowo miało dla niego moc stwórczą, bo wiersze, jak wyznawał, dyktował mu daimonion czyli głos boski.

Ciekawe jest spojrzenie na dorobek poety poprzez jego

zamknięte śmiercią życie. To biograficzne podejście do twórczości wzbogaca odczytywanie wierszy, które są głosem zarówno wybitnego poety, jak i człowieka uwikłanego w sprzeczności swojej osobowości, doświadczonego przez los i historię.

„Krytycy szukali odpowiedzi na pytanie, skąd w mojej poezji same sprzeczności. W prozie zresztą też. Mógłbym ich oświecić, powołując się na kilka osób we mnie mieszkających równocześnie, które próbowałem poskromić, na ogół bez powodzenia” – wyznaje Miłosz w „Roku myśliwego”.

Poeta był świadkiem historii XX wieku – w „Świadectwie poezji” napisał: „Prawdziwym domem poety polskiego, gdziekolwiek przebywa, jest historia – o ileż krótsza niż historia Grecji – ale nie mniej bogata w klęski i utracone złudzenia”.



*Liliana Komorowska i Katarzyna Szrodt w Konsulacie RP w Vancouver, fot. arch. K. Szrodt*



*Liliana Komorowska i Katarzyna Szrodt w Konsulacie RP w Toronto, fot. arch. K. Szrodt*

\*

Dzieciństwo, urodzonego w 1911 roku w Szetejniach na Litwie poety, wypadło na czas pierwszej wojny światowej i rewolucji w Rosji, młodość to odzyskana przez Polskę niepodległość i trudne politycznie i społecznie odradzanie się państwowości polskiej, czas dorosłości to apokalipsa drugiej wojny światowej i okupacja

przeżyta w Warszawie. Poeta doświadczył panowania nad światem dwóch ideologii – faszyzmu i stalinizmu i był świadkiem ich upadku. Emigrował w świecie podzielonym „żelazną kurtyną”, a pod koniec życia obserwował narodziny demokracji w Polsce. Tyle doświadczeń – to zbyt dużo do udźwignięcia, a szczególnie dla wrażliwego, niespokojnego duchem poety. Wszystkie te przeżycia były niewątpliwie przyczyną ciemnych myśli i pytań ciągle zadawanych w utworach – skąd i dlaczego tyle zła na świecie – *unde malum*. Jednak mroczna strona miłoszowego świata nieustannie rozświetlana jest zachwytem nad cudem życia i z niesłabnącą siłą odradzającą się naturą. Poeta, posługując się tzw. czasem metafizycznym, przenika przez wszystkie epoki i stara się opisać wydarzenia dziejące się w różnych miejscach jednocześnie, tak, jak to możliwe jest w malarstwie.

\*

Miłosz słowem chciał opisać świat – „Chciałem opisać świat, jak u Lukrecjusza”: jego wielość, różnorodność, bujność, zmysłowość, sensualność i sprzeczności – piękno i brzydotę, delikatność i niszczącą ją brutalność, wesołość rozkwitającą w sąsiedztwie tragedii, co doskonale oddane jest w wierszu „Campo di Fiori”:

*Morał ktoś może wyczyta,*

*Że lud warszawski czy rzymski*

*Handluje, bawi się, kocha*

*Mijając męczeńskie stosy.*

*Inny ktoś morał wyczyta*

*O rzeczy ludzkich mijaniu,*

*O zapomnieniu, co rośnie,*

*Nim jeszcze płomień przygasnął...*

Jasny i dostojny język tej poezji jest stopem kilku tradycji – to język inteligencji lat 20. o szerokich horyzontach myślowych, to poezja erudycyjna o filozoficznym, literackim, kulturowym podłożu od starożytności po XIX-wieczny romantyzm.

„Otrzymałem wychowanie na pograniczu Biblii, baśni i światopoglądu naukowego”- napisał poeta.

Miłosz – poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz polskich poetów i ich wytrwały promotor w Ameryce, wykładowca uniwersytecki uczący hipisów amerykańskich słowiańskiej literatury, człowiek nienasycony życiem.

Siedemdziesiąt lat pracy twórczej – ponad siedemdziesiąt pozycji

literackich. Z tego ogromnego dorobku, jak z gęstego lasu tematów podanych nam, w różnych stylach i gatunkach, wyłania się twórca świadomy swojej misji wobec mowy polskiej. W wierszu „Moja wierna mowa”, jak mnich buddyjski, składa hołd swemu bóstwu :

*Moja wierna mowa,*

*może to jednak ja muszę cię ratować.*

*Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami*

*jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,*

*bo w nieszczęściu potrzebny jest jakiś ład i piękno.*

\*

Rok Miłosza dał znakomitą okazję do przypomnienia ten przebogatej i mądrej twórczości, a tym samym wskazania nam wartości którym warto być wiernym:

*Piękny jest ludzki rozum i niezwyciężony.*

*On ustanawia w języku powszechne idee*

*I prowadzi nam rękę, więc piszemy z wielkiej litery*

*Prawda i Sprawiedliwość, a z małej kłamstwo i krzywda...*

(Zaklęcie)

Ład i piękno, prawda i sprawiedliwość, uporządkowana hierarchia wartości- to cechy wymarzonego świata Miłosza, które mają sprzeciwić się złu - tzw. ziemi Urlo będącej symbolem piekła, gdzie panują tyrania, kłamstwo, strach. „Ziemia Urlo” to ważny zbiór esejów filozoficznych Miłosza z 1977 roku, ale tutaj otwiera się nowy temat i warto byłoby przygotować program poświęcony prozatorskiej i eseistycznej twórczości noblisty, gdyż dorobek Czesława Miłosza to niezgłębiona skarbnica literacka.

\*

*Zakończenie programu Miłosza w Konsulacie w Montrealu*

---

\*

**Zobacz też:**

Trzy wspomnienia o Miłoszu

---

# Wiersze z tomiku „Niebogłos” Marty Tomczyk-Maryon



Marta Tomczyk-Maryon (ur. 1968), poetka, prozaiczka, blogerka i dziennikarka. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie obroniła również doktorat. Od roku 2010 mieszka w Norwegii. Autorka książek edukacyjnych m.in. *Jak czytać wiersze? (Interpretacje wierszy)* (2006), *Jak czytać wiersze i oglądać obrazy?* (2010) oraz biografii *Wyspiański*

(2009). Pisuje horrory i opowiadania kryminalne (dwukrotna laureatka konkursu na opowiadanie kryminalne Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu). Dla równowagi psychicznej prowadzi blog „Trolle i misie” poświęcony skandynawskiej literaturze dla dzieci i młodzieży (<https://trolleimisie.blogspot.com/>). W 2015 zdobyła I nagrodę w XI Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia. Rok później nakładem Galerii BWA w Olkuszu ukazała się jej książka poetycka pt. *Sto par bytów*, której wydanie było nagrodą w tymże konkursie. W roku 2023 ukazał się jej drugi tomik pt. *Niebogłos*.

\*

## **Niebogłos**

*Dla Marty Rusek*

prosto w górę

wystrzał

kilka słów

jakieś pytanie

\*

nie nazwałabym tego modlitwą

to rakietą

\*

pytasz co się dzieje gdy kończy się paliwo?

właśnie wtedy spada niebogłos świetlisty

\*

**Wierzyć**

ale nie ze słabości

tylko z czystej strzały czerwieni

- lancy serca

która przesywa ciała chmur

i mknie najdalej jak tylko nie można

(Oslo, 22.04.2018)

\*

## **Kosy**

1.

Koty na Asklepiejonie

(znacznie ciekawsze niż ruiny)

dostaniesz we wszystkich kolorach i rozmiarach

większość przeraźliwe chuda i żądna głaskania

2.

Kocięta kręcą się wokół matek

robią wszystko na raz i na dwa

usiłują wdrapać się na drzewo

i nie spać

ale to rzadko się udaje

bo łapy są aż cztery

a ogon syczy jak wąż

3.

Koty w tawernie wysiadują na murkach przed wybranym stolikiem

nie są nachalne

ich wzrok pozostawia pewną dozę wolności

„możesz zjeść ten kawałek wieprzowiny, jeśli naprawdę musisz”

\*

są i takie które tylko się przechadzają nie proszą o nic

te dostają wszystko

(Kos, lipiec 2019)

\*

## **Właściwa rola**

W przedszkolu wszystkie dziewczynki marzą o tym

aby zagrać księżniczkę

po latach zdają sobie sprawę

że nie było o co zabiegać

zbyt późno przekonują się

że należało wziąć rolę czarownicy

i jeszcze pięknie za nią podziękować

\*

## **[Wilgotna ziemia]**

Wilgotna ziemia

mgła

przed-świt lasu

droga jak urwana nitka

pulsowanie samotności

szans

\*

**Pan M. znajduje na plaży damski but marki Franco Martini**

W środku lipca na Korsyce

(szczegóły w gruncie rzeczy nieistotne)

Pan M. znajduje damski but

drżącą ręką otrzepuje go z piasku

i rozwija myśl o nodze która go nosiła

a także o pozostałej części

czyli kobiecie

\*

*jak wyglądała?*

*była anemiczną blondynką?*

*ognistą brunetką z dużym biustem?*

nieskrępowana wyobraźnia Pana M. przeżywa

prawdziwe wzwoły:

*w jakich okolicznościach utraciła but?*

*czy było to zabójstwo na tle romansowym*

*szampan/pocałunek/zazdrość/jedwabny szal/księżyc/łódź*

*a może trywialne znudzenie niekochankiem/kochanką*

*lecz samym butem*

*który pewnego dnia okazał się tak dalece zbędny*

*że trafił do kosza przy plaży*

cokolwiek to było

\*

Pan M. nie zazna już spokoju

jakże trudno uwolnić się od niebezpiecznych pragnień

tworzenia cudzych historii

\*

## **Włosy mojej matki**

Znajduję włosy mojej matki na zmiotce

brązowe kłębki

niesforne kocięta

mogłyby miauczeć, gdyby miały głos

ale głosu nie mają

podobnie jak prawa, żeby tu być

choć łapią się palców rozpaczliwie

wyrzucam je do kosza

kiedy zamykam kubeł zastanawiam się

czy jeszcze kiedyś zobaczę jakiś włos mojej matki

\*

**Żółw**

Tylne łapki i ogon ślizgają się po parkiecie

skorupa postukuje

gdy zamkniesz oczy zobaczysz

dziadka o lasce

\*

**P.**

leży z twarzą w ziemi wypalonej ogniem

który minutę temu zstąpił z nieba

wiele lat później będą mówić o nawróceniu

zapalą świece

obleką księgi w ciemnobrązowe skóry

ale P. wie tylko że jest oślepiiony

jeszcze ma nadzieję

że wszystko będzie mogło być takie jak przedtem

jeszcze wierzy

\*

### **[W naszym ogrodzie]**

W naszym ogrodzie zamieszkały pumy śnieżne

bezgłośnie wskakują na skały i patrzą w czarne niebo

w ich krwioobiegu krążą małe kryształki lodu

gdy docierają do serca pumy przymykają oczy

(Nittedal, Skillebekk, 07.12.2021)

\*

## Marta Tomczyk-Maryon, Niebogłos, Wydawnictwo Fundacja Kultury Afront, 2023.



\*

**Zobacz też:**

Wiersze z tomiku „Sto par bytów”

Z miłości do języka

# Copernicus Jeremiego Wasiutyńskiego